



DZIKOVIA

PISMO SPOŁECZNO - KULTURALNE • IV - VI 2007 • NR 30



Lato 2007 roku to - jestem o tym najgłębiej przekonany - ważny moment w najnowszej historii naszego grodu. Po zakończeniu roku szkolnego nasze Muzeum stało się gospodarzem najcenniejszego zabytku Tarnobrzega - zamku w Dzikowie. Na ten moment a także rozpoczęcie remontu i adaptacji zamku czekałem ponad dwadzieścia lat., tj. od chwili gdy stałem się mieszkańcem tego miasta. Aby go przybliżyć, najpierw jako Wojewódzki Konserwator Zabytków, potem dyrektor Muzeum Historycznego, a przede wszystkim historyk sztuki starałem się uświadomić na różne sposoby zarówno władzom wojewódzkim jak i miejskim, a także Tarnobrzeżanom (i nie tylko!) jaki skarb posiadają. Ten skarb, jak każdy potencjalny, prawdziwy klejnot, wymaga jednak odpowiedniego potraktowania - oszlifowania, by z diamentu stał się brylantem najwyższej próby. Przekonywanie szło - co tu ukrywać - opornie, mimo różnych stosowanych metod jak prelekcje, wystawy czy publikacje. Na ten stan rzeczy wpłynął fakt, iż znaczna część ludzi sprawujących ważne funkcje w Tarnobrzegu to absolwenci "Rolnika" patrzący na dawną rezydencję Leliwitów jak na poczciwą, starą "budę", a nie zabytek, zamek. Niewątpliwie też większość ludzi nie posiada wyobraźni, która pozwala zobaczyć w danym miejscu czy obiekcie coś, czego jeszcze nie ma, a co wielokrotnie może przewyższyć istniejącą rzeczywistość.

Również na łamach wszystkich numerów "Dzikovii", od samego początku wydawania naszego kwartalnika, sprawie Dzikowa poświęcałem regularnie rozmaite artykuły, by czytelnicy dysponowali jakąś wiedzą na temat dawnej rezydencji Tarnowskich. Dwa lata temu Muzeum rozpoczęło organizowanie Czwartkowych Wieczorów Zamkowych, by za sprawą regularnych, comiesięcznych gawęd przybliżyć ich uczestnikom dzieje i tradycje Dzikowa. Sam prowadziłem przez wszystkie minione lata intensywne badania na temat naszego zamku i jego otoczenia.

Na drodze owych starań (na której działałem przecież nie tylko ja!) pojawiało się mnóstwo wybojów i niebezpiecznych zakrętów - może kiedyś opiszę je ku pamięci potomnych. Najtrudniejszym było jednak przekonanie innych do trzech rzeczy: że zamek jest w bardzo złym stanie technicznym i że o niebo lepiej (i to za mało powiedziane!) będzie prezentować się po remoncie oraz że po odnowieniu zmieni życie Tarnobrzega.

Nie jestem naiwny i wiem też, że nie wszyscy są już przekonani co do słuszności obranej teraz drogi. Nawet część spośród tych, którzy chcieli muzeum w zamku dzikowskim podchodzili do sprawy, hm... - najdelikatniej rzecz ujmując - co najmniej dzwacznie i nieroztropnie. Ale ten czas mamy już szczęśliwie poza sobą - teraz trzeba poczekać na efekty jakie przyniesie pierwszy etap remontu. Nie będzie on może spełnieniem wszystkich marzeń i oczekiwań, bo dotyczy "tylko" zamkowych piwnic, ale z jednej strony zostanie ukończony oddaniem do użytku kondygnacji podziemnej już za rok, a z drugiej da przedsmak tego, jak dawna rezydencja Tarnowskich będzie wyglą-

data po remoncie, adaptacji i urządzeniu. A będzie co oglądać!!! Oprócz samego zamku, który odzyska charakter "zamkowy" i będzie wyglądał jak za swoich najlepszych czasów, urządzimy w jego murach 30 zabytkowych wnętrz (dla porównania - nasz piękny sąsiad - zamek w Baranowie udostępnia do zwiedzania "tylko" 12 wnętrz). W większości będą to komnaty zrekonstruowane do stanu historycznego, w części zaś (głównie piwnice i dwie komnaty piętrowe) powstaną tu ekspozycje muzealne nawiązujące do historii zamku, faktów i ludzi związanych z Dzikowem. Całość przybierze charakter jednolitego ciągu pomieszczeń, tworzącego typ muzeum wnętrz, dającego interesujący i zawsze atrakcyjny dla zwiedzających obraz dawnej rezydencji arystokratycznej. Jestem przekonany, że gdyby oponenci takiego przeznaczenia zamku lub obecni niedowiarkowie mogli oczyma wyobraźni ujrzeć tę wizję, proces dochodzenia choćby do obecnego momentu byłby łatwiejszy i o niebo szybszy.

Na początek, dla zapewnienia bezpieczeństwa konstrukcyjnego całej budowli zostaną podbite i sklamrowane żelbetową opaską fundamenty zamku, a piwniczne mury wszystkich 9 komór zostaną odczyszczane i poddane gruntownej konserwacji. Pojawią się też nowe posadzki, a piwniczne pomieszczenia z XV, XVII, XVIII i XIX wieku, dotąd "rozrzucone", połączy nowa część piwnic pod korpusem głównym budowli. Tu znajdzie się miejsce dla obsługi ruchu turystycznego: szatnie i toalety, kasa biletowa, kiosk z wydawnictwami i pamiątkami oraz nastrojowa kawiarenka. Stąd zwiedzający przechodzić będą do zabytkowych piwnic pod skrzydłem zachodnim, w których urządzona zostanie wystawa poświęcona dziejom zamku i zespołu rezydencjonalnego w Dzikowie.

W ramach pierwszego etapu rewaloryzacji do zamkowych murów zostanie wprowadzony komplet nowych instalacji - ciepłownicza, kanalizacyjna, elektryczna, przeciwwłamaniowa i przeciwpożarowa oraz klimatyzacja, a także zostanie zbudowany kanał dla przyszłej windy (dzięki której zamek będą mogły zwiedzać osoby niepełnosprawne). Do czerwca przyszłego roku zmieni się też najbliższe otoczenie zamku. Od południa zostanie nieco obniżony poziom zamkowego dziedzińca, który będzie wybrukowany drobną kostką granitową. W powierzchni dziedzińca pojawi się pieczęć dzikowska z herbem Leliwa i napisem: "Tendite in astra viri" o średnicy 3 m. W płaszczyźnie dziedzińca zostaną też zamontowane lampy iluminacyjne.

Po pierwszym, rozpoczynającym się właśnie etapie remontu zmieni się też bezpośrednio otoczenie zamku od strony północnej. Po zdjęciu warstwy ziemi tworzącej tutaj zamkową skarpe i umocnieniu stoku ścianą oporową oraz ponownym uformowaniu skarpy, przed zachowanymi dotąd trzema neogotyckimi bramami przyziemia (za nimi będzie funkcjonować wspomniana kawiarenka) pojawi się wybrukowane granitową kostką widokowe patio, którego krawędź osłoni kuta w piaskowcu balustrada. Taka sama balustrada będzie osłaniać bieg schodów wachlarzowych, wiodących od zamkowych ścian w kierunku wspomnianej platformy widokowej z podobnym zejściem w dół do parku.

Oczywiście, podane tu informacje to tylko fragment tego, co niedługo będą mogli oglądać wszyscy. Warto jednak zapamiętać stan obecny, gdyż za kilka - powiedzmy pięć - lat trudno będzie rozpoznać obiekt, którego remont właśnie się rozpoczyna.

Vivat castrum dzikoviensis!!!

ADAM WÓJCIK - ŁUŻYCKI

WIELKI ODNOWICIEL ZAMKÓW

Z końcem maja bieżącego roku minęła setna rocznica urodzin Profesora Alfreda Majewskiego, najwybitniejszego w dziejach naszego kraju konserwatora zamków. Urodził się w 1907 roku w Kozicach pod Lwowem. W prostej linii był praprawnikiem Onufrego Majewskiego, rodzzonego brata Barbary z Majewskich Mickiewiczowej, matki Adama Mickiewicza.

Kształcił się najpierw w Gimnazjum im. Jana III Sobieskiego, a po maturze rozpoczął studia na Wydziale Architektury Politechniki Lwowskiej pod okiem wybitnych profesorów, między innymi słynnego matematyka Stefana Banacha, wybitnych architektów Jana Sasa-Zubrzyckiego i Witolda Minkiewicza oraz Kazimierza Bartła, jednego z premierów II Rzeczypospolitej. Już w trakcie studiów zetknął się podczas wakacyjnych praktyk studenckich, z zamkiem królewskim na Wawelu, gdzie poznał swojego wielkiego poprzednika prof. Adolfa Szyszko-Bohusza, oraz z kresowym zamkiem w Świrzu. W tym ostatnim zetknął się z pułkownikiem Tadeuszem Komorowskim, znanym z okresu II wojny światowej "Borem", który w 1944 roku wydał rozkaz rozpoczęcia powstania warszawskiego. Po ukończeniu studiów Alfred Majewski rozpoczął swoją zawodową karierę od odrestaurowania zamku w Oleksku, w którego murach przyszedł na świat Jan III Sobieski. Zamek olecki poddano wtedy konserwacji nie tylko z powodu jego nienajlepszego stanu technicznego, ale też dla uczczenia 250-rocznicy odsieczy wiedeńskiej. Doskonale zorganizowanie tej budowy, w bardzo prymitywnych warunkach spowodowało, że młody architekt otrzymał propozycję pracy w Urzędzie Wojewódzkim w Tarnopolu. Zatrudniony początkowo na podrzędnym stanowisku w Oddziale Budowlanym, szybko awansował, stając się po dwóch latach jego szefem. Umiejętności organizatorskie i konserwatorskie młodego architekta zostały szybko dostrzeżone: równoległe do pracy urzędniczej w Tarnopolu inż. Majewski zaczął pełnić obowiązki zastępcy wojewódzkiego konserwatora zabytków we Lwo-



wie. WKZ we Lwowie obejmował swoim zakresem działania dwa duże województwa - lwowskie i tarnopolskie; Majewski został konserwatorem na obszar tego ostatniego. Z ważniejszych robót konserwatorskich jakie prowadził warto wymienić rewaloryzację legendarnego zamku w Zbarażu oraz zamku w Tarnopolu.

Niezależnie od pełnienia obowiązków urzędnika wojewódzkiego i konserwatora, za zgodą swoich zwierzchników, Alfred Majewski projektował budynki szkół i urzędów państwowych. Patrząc na różnorodność i zakres obowiązków z wielkim powodzeniem realizowanych przez młodego wówczas absolwenta Politechniki Lwowskiej, podziw i szacunek budzi jego wielka pracowitość i zdolności organizacyjne - cechy, którymi Alfred Majewski imponował przez całe życie.

Po 17 września 1939 roku, po agresji ZSRR na Polskę, stało się jasne, że NKWD prześlado-



Widok zamku w Olesku

wać będzie w pierwszym rzędzie polską inteligencję. W dramatycznych okolicznościach Alfredowi Majewskiemu i jego żonie udało się uciec do Stadników pod Gdowem (koło Krakowa), skąd pochodziła pani Maria z Bednarskich Majewska. Tutaj przyszły odnowiciel wielu polskich zamków przetrwał okres wojny i okupacji, pomagając Bednarskim prowadzić duże gospodarstwo rolne. Wcześniej, jeszcze w październiku 1939 roku, Alfredowi Majewskiemu udało się cudem i w ostatniej chwili wydobyć z sowieckiego transportu polskich jeńców wojennych swojego szwagra, Jana Bednarskiego. Do końca swoich dni Majewski uważał, że ocalenie brata żony było największym osiągnięciem jego życia, co jest zrozumiałe zważywszy, że - jak się okazało - wspomniany transport zmierzał w kierunku Katynia...

Tuż po zakończeniu wojny inż. Majewski przez dwa lata organizował polskie przedsiębiorstwa budowlane na Dolnym Śląsku, ale w roku 1947 wezwał go na Wawel jego mistrz ze Lwowa - prof. Witold Minkiewicz. Ten ostatni był wówczas dyrektorem Kierownictwa Odnowienia Zamku Królewskiego na Wawelu (KOZK), a jednocześnie organizował Wydział Architektury na Politechnice Gdańskiej. Z tego powodu prof. Minkiewicz, zmuszony dzielić swój czas pomiędzy Kraków i Gdańsk, potrzebował na Wawelu kompetentnego, zaufanego zastępcy. Wybrał więc na to miejsce swojego dawnego najlepszego studenta... Od pierwszych dni Majewski zajął się nie tylko pracami na Wawelu, ale też innymi zamkami - w Wiśniczu i Pieskowej Skale. Był to "tylko" początek, bo w następnych latach zapoczątkował odnawianie kolejnych zamków małopolskich, m.in. w Niedzicy, Czorsztynie, Dębnie, Krasiczynie, Sucheju Beskidzkiej, Przecławiu

i Ujeździe. W normalnej rzeczywistości restaurowanie zamków byłoby w pełni zrozumiałe. Fenomen profesora Alfreda Majewskiego polega jednak na tym, że sobie tylko znanymi sposobami, w czasach największej ideologicznej pogardy dla dawnej Polski potrafił uzyskać akceptację władz dla restaurowania jej najwspanialszych, najcenniejszych pomników.

By realizować wielkie przedsięwzięcia konserwatorskie, jakim było odnawianie kolejnych zamków potrzebne było duże przedsiębiorstwo grupujące zarówno projektantów, konserwatorów, jak i specjalistów budowlanych wszystkich niezbędnych branż. I tutaj również Majewski ujawnił wielki talent organizacyjny: niewielką komórkę projektowo-badawczą jakim było powołane do życia jeszcze w 1905 roku Kierownictwo Odnowienia Zamku Królewskiego na Wawelu (w skrócie: KOZK), w szybkim czasie przekształcił w nowoczesne przedsiębiorstwo konserwatorskie zatrudniające około 1.000 pracowników i posiadające funkcje inwestora, projektanta i generalnego wykonawcy. Dzięki rozmaitym niezwykłym talentom Profesora Majewskiego i bezpośredniej zależności KOZK jedynie od Ministra Kultury i Sztuki, Kierownictwo mogło niezwykle skutecznie rewaloryzować kolejne zamki, jak również inne, cenne dla kultury narodowej obiekty (np. Collegium Maius w Krakowie).

Równoległe do pracy na Wawelu, rozwijała się kariera naukowa Alfreda Majewskiego, gdyż związał się on z Politechniką Krakowską, której był profesorem, a przez dwie kadencje dziekanem Wydziału Architektury. Spośród innych, ważnych ról, jakie spełniał prof. A. Majewski, wymienić trzeba koniecznie funkcję Generalnego Konserwatora Zabytków. Był też jednym z założycieli

międzynarodowej organizacji ochrony zabytków ICOMOS, a także członkiem zwyczajnym i honorowym wielu polskich i zagranicznych towarzystw naukowych, zawodowych i regionalnych, w tym członkiem honorowym Towarzystwa Przyjaciół Tarnobrzega.

Nasz region zawdzięcza Profesorowi Majewskiemu odbudowę i urządzenie zamków w Baranowie Sandomierskim i Przeclawiu, a także zapoczątkowanie odbudowy zamku Krzyżtopór w Ujeździe.

W mojej pamięci Profesor pozostanie jako wspaniały, ogromnie ciepły i serdeczny dla wszystkich człowiek. Mimo wielkiego autorytetu, jakim cieszył się na całym, świecie jako jeden z najwybitniejszych architektów - konserwatorów, nigdy nie stwarzał jakichkolwiek barier pomiędzy sobą a innymi ludźmi. Doceniając jego ogromny dorobek konserwatorski i naukowy, zawsze z podziwem patrzyłem na Niego, jak odnosił się do innych, z jakim szacunkiem witał się np. na budowie z tzw. prostymi robotnikami. Kochał zamki, całe swoje życie, nawet prywatne, podporządkował działaniom na rzecz ich ratowania, na rzecz ich ocalenia dla przyszłych pokoleń.

Wiedząc o mojej pracy, o trudach z jakimi przyszło mi tworzyć muzeum w Tarnobrzegu, wspaniałomyślnie przekazał dla mnie prawa autorskie do swoich publikacji o zamkach. Skorzystało z tego nasze Muzeum i to co najmniej podwójnie. Z jednej strony, wydając opracowania Alfreda Majewskiego, zyskaliśmy ogromny prestiż jako instytucja, a z drugiej - całkiem konkretne, wymierne korzyści w postaci kilkudziesięciu

tysięcy złotych z tytułu sprzedaży książek o zamkach w Baranowie, Wiśniczu i Pieskowej Skale. Pieniądze te przez wiele lat zasilają konto Muzeum.

Pod koniec swojego długiego życia Profesor zaczął spisywać swoje wspomnienia, których nie zdążył jednak doprowadzić do końca. Aż do tej pory pozostawały one w formie maszynopisu. Z racji przypadającej w tym roku setnej rocznicy urodzin Profesora postanowiłem je wydać w formie książkowej, co stało się możliwe dzięki pokryciu kosztów jej wydania przez Towarzystwo Przyjaciół Tarnobrzega. Chciałem też na baranowskim zamku urządzać uroczysty wieczór poświęcony pamięci Wielkiego Odnowiciela kilkunastu polskich zamków. Niestety, pomysł ten zmuszeni byliśmy zrealizować w Wiśniczu, mieście wdzięcznym Alfredowi Majewskiemu za odbudowę tamtejszego wspaniałego zamku Kmitów i Lubomirskich. Współorganizatorem (obok TPT) seminarium "Alfred Majewski - Wielki Odnowiciel Zamków Polskich" był burmistrz Wiśnicza Stanisław Gaworczyk i Stowarzyszenie Konserwatorów Zabytków. Uroczystość poprzedziła msza święta w wiśnickiej farze, odprawiona za duszę Profesora. Podczas seminarium jego uczestnicy wspominali Profesora i Jego dokonania, a w momencie kulminacyjnym nastąpiła prezentacja wydanych przez nasze Towarzystwo pamiątek A. Majewskiego "Moja droga przez życie".

Tę starannie wydaną publikację wydrukowaną i oprawioną w ciągu 9 dni (!) przez tarnobrzezkie Wydawnictwo Samorządowe można nabyć w sklepie Veritas w klubie "Pod Leliwą".



Widok zamku w Zbarażu

ALEKSANDRA JANAS

KOLEKCJONER, BIBLIOFIL, MINISTER

Wśród wielu tzw. okrągłych rocznic jakie przypadają na rok 2007 warto pamiętać o 230 rocznicy urodzin i 165 rocznicy śmierci Jana Feliksa Tarnowskiego, człowieka któremu Tarnobrzeg zawdzięcza sławę z racji zgromadzonej przez tego Leliwitę tzw. kolekcji dzikowskiej.

Urodził się w Dzikowie w roku 1777. Wedle rodzinnej tradycji jako chłopiec Jan Feliks zamierzał zostać żołnierzem, ale rodzice - Róża z Czackich i Jan Jacek Tarnowscy - chcieli przede wszystkim dać mu dobre wykształcenie. Zanim więc zaczął kształcić się w Warszawie pod kuratelą swego sławnego wuja Tadeusza Czackiego, pierwsze nauki pobierał w rodzinnym domu pod okiem znakomitych nauczycieli - księży: Lachowskiego, Antonowicza i Kopczyńskiego. Ten ostatni, pijar, Onufry Kopczyński był autorem pierwszej opublikowanej gramatyki języka polskiego. Będąc w Warszawie u wuja Czackiego, młody Tarnowski przysłuchiwał się obradom Sejmu Czteroletniego, a także stykał się na co dzień z sześć lat od siebie starszym Alojzym Felickim, znanym potem dramaturgiem, autorem "Barbary Radziwiłłówny". Także w Warszawie młody Tarnowski po raz pierwszy zetknął się ze środowiskiem naukowym, bywał często w sławnej Bibliotece Załuskich, gdzie "połknął" bakcyła bibliofilskiego, jaki stał się prawdziwą, wielką pasją jego życia.

Zimą 1799 roku Jan Feliks odwiedził wuja Czackiego w Porycku i tam poznał dziedziczkę pobliskiego Horochowa Walerię Stroynowską. Była córką Aleksandry z Tarnowskich i Waleriana Stroynowskiego, człowieka z wielką zapobiegliwością gromadzącego majątek. Niektórzy powątpiewali nawet w szlacheckie pochodzenie Stroynowskiego, innym nie podobała się jego gorliwość w robieniu interesów. Zdając sobie sprawę z owych zarzutów, chętnie widziałaby związek swej jedynaczki z niezbyt wtedy majątnym, lecz noszącym dobre, "starożytnie", otoczone powszechnym szacunkiem nazwisko kawalera. Mimo, że Waleria nie należała do zbyt uro-



Jan Feliks Tarnowski - (1777 - 1842)

dziwych kobiet, małżeństwo z Janem Feliksem okazało się całkiem udane. Stało się tak zapewne z racji wielu wspólnych zainteresowań obojga, obracających się wokół szeroko rozumianej kultury i sztuki. Ślub Stroynowskiej i Tarnowskiego odbył się w kościele Dominikanów w Tarnobrzegu 7 września 1800 roku.

Jak wyglądało życie młodej pary - niestety, nie wiemy. W 1802 roku Stroynowscy, wiedząc o niegdysiejszej utracie przez Tarnowskich ich rodowego gniazda, prowadzili rokowania z Sanguszkami w sprawie ewentualnej zamiany dóbr. Książęta Sanguszkowie, ród mocno związany z Wołyniem mieli od Stroynowskich otrzymać

Horoarów z okolicznymi majątkami w zamian za Tarnów. Tym samym Tarnowscy mogliby związać się na powrót z miejscem, z którego niegdyś wypłynęli na dziejowe wody. Ostatecznie jednak do tej oryginalnej transakcji nie doszło. Swobodnym antidotum była nieco spóźniona podróż poślubna młodych Tarnowskich do Włoch ufundowana przez ojca Walerii, a odbyta w latach 1803-1804. W Italii zwiedzili szereg miast, m.in. Wenecję, Padwę, Weronę, Ankonę, Loreto i Rzym. Wszędzie z największą uwagą zwiedzali sławne budowle, a przede wszystkim galerie obrazów. Na malarstwie nie znali się, byli natomiast jego wielkimi admiratorami. Przy okazji zwiedzania licznych galerii poznali kilku artystów, z których najsławniejszą była malarka Angelika Kaufmann oraz rzeźbiarz Antonio Canova, zwany "Fidiaszem tamtych czasów". Pobyt we Włoszech był okazją do nabycia wielu obrazów, rzeźb, sztychów i innych dzieł sztuki. Po latach owe włoskie "pamiątki" stanowiły zasadniczą część zbiorów, ulokowanych po roku 1834 w odnowionym zamku w Dzikowie.

Po powrocie do kraju Jan Feliks Tarnowski musiał zająć się licznymi obowiązkami związanymi z rodzimym majątkiem tym bardziej, że w 1807 roku zmarł jego ojciec Jan Jacek Tarnowski, a i czasy zwane "epoką napoleońską" nie były okresem stabilnym. Oprócz wielu wydarzeń natury polityczno - wojennej, dotknęło Tarnowskich kilka klęsk: zniszczenie zamku dzikowskiego przez Austriaków w czerwcu 1809 roku oraz wielka powódź jaka nastąpiła w cztery lata później. W tym okresie Jan Feliks częściej przebywał w wołyńskich dobrach swojej żony, zwłaszcza w Horochowie. Wtedy też po raz pierwszy otrzymał funkcję publiczną, bowiem został mianowany radcą wydziału do spraw policji w Centralnym Rządzie Tymczasowym dla Galicji. Rząd ten (z siedzibą w Lublinie) miał przygotować tereny zaboru austriackiego do połączenia z Królestwem Warszawskim. Ostatecznie plany te nie zostały zrealizowane, a Jan Feliks wraz z żoną od końca 1810 roku zamieszkał w Warszawie, z czasem coraz bardziej wiążąc się ze środowiskiem stołecznym, przede wszystkim z Towarzystwem Przyjaciół Nauk. Wraz z innymi zrzeszonymi w Towarzystwie Tarnowski miał dokończyć opracowanie historii Polski, zapoczątkowane kiedyś przez Adama Naruszewicza. Zobowiązał się też do ofiarowania na rzecz TPN zgromadzonego przez siebie

księgozbioru. Obydwu zobowiązań nigdy jednak nie wypełnił.

W Warszawie Jan Feliks związał się także z bardzo modną w tym okresie wśród arystokracji masonerią. Oddając początkowo swemu bratu Michałowi zarząd nad rodzowymi dobrami, nie rezygnował z Dzikowa, zamierzając utrzymać całość majątku w swoim ręku. Ostatecznie w 1815 roku wykupił Dzików od Michała, ten zaś, za pieniądze uzyskane z braterskiej transakcji, nabył niedaleki Chorzelów.

W latach 1812 - 1813 Jan Feliks Tarnowski często bywał w Dzikowie, gdzie gościł wielu uchodźców przemieszczających się w związku ze zmieniającą się sytuacją wojenną. Wtedy też Dzików i okolice przeżyły wielką powódź, co opisał - goszczący u Jana Feliksa - jego przyjaciel, a zarazem znany wówczas pisarz i publicysta, Kajetan Koźmian.

Tymczasem nadszedł rok 1815, kiedy na mocy postanowień Kongresu Wiedeńskiego utworzono Królestwo Polskie pod berłem cara Aleksandra I. W składzie deputacji witającej cara w Warszawie znalazł się także i dziedzic Dzikowa. Odtąd, aż do powstania listopadowego, Tarnowski obracał się w warszawskich sferach naukowych (Towarzystwo Przyjaciół Nauk) jak i politycznych, będąc m.in. członkiem Rady Stanu, jak i Komisji dla uregulowania handlu i żeglugi pomiędzy Królestwem, a trzema państwami zaborczymi. W kolejnych latach uzyskał tytuł kasztelana - senatora, pełnił też przez pewien okres czasu funkcję ministra oświaty. W okresie tym wraz z żoną Walerią mieszkał we własnym pałacu przy Krakowskim Przedmieściu (po jego zburzeniu na tym miejscu, z początkiem XX wieku, Ignacy Jan Paderewski zbudował istniejący do dzisiaj hotel "Bristol").

Od najmłodszych lat Jan Feliks Tarnowski interesował się książkami. Najpierw korzystał z ksiąg zgromadzonych przez ojca, który dla pomieszczenia swojej biblioteki do obecnego korpusu głównego zamku dobudował w II połowie XVIII wieku obecne skrzydło wschodnie. Kiedy wraz z nowo poślubioną żoną podróżował po Włoszech nabywając wiele dzieł sztuki, zakiełkowała w nim myśl utworzenia własnej kolekcji rodowej. Odtąd niemal za każdą cenę nabywał cenne starodruki, nierzadko pochodzące z wielkich, sławnych wcześniej bibliotek. Jego bibliofilska pasja stała się powszechnie znana. Kiedy

po przegranych przez Polaków powstaniu listopadowym postanowił wrócić do rodzinnego Dzikowa, zlecił przebudowę starego zamczyska w modnym, "nowoczesnym" wtedy stylu neogotyku angielskiego. Nie chodziło jednak o zwykłą przebudowę, o ukształtowanie rodzinnego domu wedle wymogów aktualnej mody. Wielką wartością działań Tarnowskiego było bowiem ukształtowanie rezydencji - muzeum, miejsca, gdzie zamieszkuje hrabiowska rodzina, a zarazem w stosownych miejscach, według ściśle określonego programu znajdują się zgromadzone pamiątki, dzieła sztuki, rodowe archiwum i biblioteka. Takie podejście znamionowało prawdziwego konesera, człowieka w pełni świadomie tworzącego kolekcję wielkiej miary i znaczenia. Zbiory dzikowskie ukształtowane i ulokowane w zamku dzikowskim, wedle zamysłów Jana Feliksa, dotrwały w niezmienionym kształcie do pożaru

rezydencji w 1927 roku. Żaden z następnych Tarnowskich w sposób znaczący nie wzbogacił zgromadzonych zbiorów; po śmierci kolekcjonera zdarzyły się wręcz przypadki ich zubożenia o sprzedaż co cenniejszych obrazów ("Lisowczyk" Rembrandta), reszty dopełniły pożar rezydencji w 1927 roku i bezmyślne rozproszenie kolekcji po II wojnie światowej.

Dzieło Jana Feliksa Tarnowskiego jest dziś uznawane przez historyków kolekcjonerstwa i muzealnictwa polskiego za jedno z najciekawszych tego rodzaju dokonań w Polsce w XIX wieku. Dzięki wysiłkom podejmowanym obecnie przez Jana, Pawła i Marcina Tarnowskich oraz rewaloryzacji rezydencji w Dzikowie podjętej ostatnio przez władze samorządowe Tarnobrzega, jest nadzieja, że przynajmniej częściowo dzieło Jana Feliksa zostanie odtworzone w odnowionym zamku.

JAN RAWSKI

SZTANDAR SODALICJI NAUCZYCIELEK ZE LWOWA

Wielkim zaskoczeniem dla mieszkańców naszego miasta może być informacja, że pewien sztandar kościelny z roku 1897 ze Lwowa, znalazł się w Tarnobrzegu. Gdzie Lwów, a gdzie Tarnobrzeg? Już niewiele osób pamięta, że Tarnobrzeg należał administracyjnie do województwa lwowskiego, był powiatem najbardziej wysuniętym na zachód. Kiedy po przeobrażeniach politycznych II wojny światowej Lwów dostał się pod rządzą ZSRR, wielu Polaków, czasem z narażeniem życia, przenosiło się w głąb Polski transportem repatriacyjnym. Takim transportem przyjechała do Polski w 1946 roku pani Olga Malawska, nauczycielka Szkoły Powszechnej im. św. Antoniego we Lwowie. Przybyła do rodziny swojego wychowanka w Baranowie Sandomierskim, pana Jana Kozłowskiego i przywiozła ze sobą coś, co uważała za bardzo cenne - sztandar Sodalicji Towarzystwa Pań Nauczycielek ze Lwowa.

We Lwowie chroniła go w czasie licznych rewizji mieszkania przez władze, tak w czasie okupacji niemieckiej jak i radzieckiej, przed zabraniem i zniszczeniem. Ostatecznie zdecydowo-

wali w domu, że jeżeli sztandar odpowiednio złożą, a widoczna będzie jedynie Matka Boża Ostrobramska, nikt nie zwróci uwagi na czym jest wyszyta. I wizerunek ten wisiał jako obraz nad łóżkiem w pokoju gdzie spała. Tak sztandar doczekał się razem z panią Malawską repatriacji do Polski. Kiedy pani Olga przyjechała ze sztandarem, Jan Kozłowski udał się do kościoła parafialnego w Baranowie Sandomierskim i w uzgodnieniu z ówczesnym proboszczem ks. Henrykiem Stochelem sztandar umieszczono pomiędzy innymi chorągwiami w kościele. Cenna dla pani Malawskiej pamiątka stała przy ławce, prawie niezauważona; mogła w każdej chwili przyjść, powspominać i pomodlić się, kiedy tylko poczuła taką potrzebę. Prawdopodobnie nie doczekała upadku komuny i powstania Wolnej Polski.

Kiedy nastąpiła wolność, a w Tarnobrzegu, na początku 1989 roku zawiązało się Towarzystwo Miłośników Lwowa, pan Jan Kozłowski jako jeden z pierwszych zapisał się do niego, a napotkawszy wielu znajomych ze Lwowa, postanowił



do gromadzonych przez Towarzystwo zbiorów o tematyce lwowskiej dołączyć sztandar Sodaliczji Pań Nauczycielek. Po kilku latach zmarła a sztandar Sodaliczji pozostał w rękach Towarzystwa. Po dorobieniu nowego drzewca został ponownie po-

święcony w kościele pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Tarnobrzegu przez OO. Dominikanów i pokazany Tarnobrzeżanom po raz pierwszy w czasie procesji Bożego Ciała w 1989 r. Sztandar niósł członek Towarzystwa Miłośników Lwowa Stanisław Hrycyniuk, w asyście członkiń Zarządu, Krystyny Zając i Krystyny Tyniec. Jeszcze parę razy noszony był w czasie świąt państwowych na 11 listopada oraz 3 maja i ostatecznie przekazany został do klasztoru OO. Dominikanów. Po zorganizowaniu w czerwcu 1991 r. wystawy pt. "Semper Fidelis Poloniae" - Lwów, Lwowiacy, Ziemia Lwowska, Kresy Wschodnie, Towarzystwo, z braku lokum, oddało darczyńcom eksponaty a sztandar wrócił do klasztoru OO. Dominikanów.

W 2007 roku Towarzystwo Miłośników Lwowa zwróciło się do przeora klasztoru, o zwrot pozostawionego w pomieszczeniu na kościelnym chórze, sztandaru. Niestety, zniknął z tego lokum w czasie prac porządkowych, prawdopodobnie za kadencji O.St. Repetowskiego i nikt nie wie gdzie się obecnie znajduje. Nic nie wie obecny przeor, ani braciszek, który (niby) nadzorował sprzątanie! A my, jako Towarzystwo, planowaliśmy przekazanie sztandaru do kaplicy zamkowej w Dzikowie. Nie wyobrażam sobie, żeby mógł zaginąć! Czy po to, z narażeniem życia był chroniony i osłaniany, żeby teraz, w wolnej Polsce, przepaść jak kamień w wodę, po 110 latach istnienia?

Muzeum Historyczne Miasta Tarnobrzega zainteresowało się tą piękną, lwowską pamiątką i poparło nasz pomysł przekazania jej do kaplicy, jako jeden z eksponatów. Mam nadzieję, że się odnajdzie i będzie oglądany przez kolejne lata.

JAN RAWSKI

IV ROCZNICA POWSTANIA PARAFII CHRYSYTA KRÓLA

Wydaje się, że tak niedawno ks. bp senior Ignacy Tokarczuk z Przemyśla, odprawiał tu pierwszą Mszę św. Było to święto "Chrystusa Króla"- 24 lutego 2002 roku - Patrona naszego kościoła parafialnego.

Budynek ten, po miejskiej kotłowni, a następnie "Młodzieżowym Domu Kultury", został przez "Siarkopol" sprzedany prywatnemu nabywcy, a gdy ten zbankrutował, miasto Tarnobrzeg zakupiło od Państwa całość nieruchomości.

ści za 270 tysięcy złotych i przekazało Ojcom Dominikanom, jako rekompensatę za wywłaszczone przez PRL mienie kościelne. Ci z kolei przekazali obiekt do dyspozycji Kurii Biskupiej w Sandomierzu, która zdecydowała o przebudowie obiektu na kościół.

Pracami adaptacyjnymi, z ramienia Kurii Biskupiej, kierował ks. prałat Michał Józefczyk, proboszcz parafii Matki Bożej Nieustającej Pomocy na "Serbinowie". On to dopilnował sporządzenia planów adaptacyjnych, zorganizował ludzi do prac porządkowych oraz fachowców. Dzięki temu na uroczystość Chrystusa Króla obstawiono wnętrze budynku planszami z religijnymi motywami maskującymi porozbijane ściany i ustawiono prowizoryczny ołtarz. Przy tym ołtarzu ks. abp Ignacy Tokarczuk odprawił inauguracyjną Mszę świętą w asyście księży z tarnobrzeskich parafii.

Od tego dnia, co niedzielę, ks. prałat Michał Józefczyk, nadzorujący codziennie prace budowlane, odprawił msze o godzinie 8.30 i 10.00 oraz o 17.00 nieszpory.

Przez cały czas nieustannie trwały prace we wnętrzu kościoła. Co tydzień zauważaliśmy za-

skakujące zmiany. Nawet nie zorientowaliśmy się, kiedy w częściach zostały sprowadzone z Holandii dziewiętnastowieczne ołtarze gipsowe pochodzące ze zlikwidowanego kościoła. W ołtarzu głównym, zdobionym płaskorzeźbą, pośrodku ustawiono figurę Chrystusa Króla, w części górnej - płaskorzeźby przedstawiające symbole Eucharystii i Pokuty, natomiast w dolnej - starotestamentowych protoplastów kapłańskiego rodu Abrahama, Izaaka, Dawida i Melchizedeka. Na drzwiach tabernakulum znajdują się płaskorzeźby dwóch Aniołów z napisem: Oto Chleb Pański. W nawie bocznej pojawiły się 2 ołtarze zakończone wieżyczkami, z postaciami Matki Bożej i św. Józefa.

W niedzielę 22 grudnia 2002 roku po Mszy św. o godz. 8.30 pozostał w tabernakulum nowego ołtarza, już na stałe, Najświętszy Sakrament. Od tego czasu przy ołtarzu świeci się wieczna lampka. Od lutego 2003 roku ks. prałat wprowadził codzienną Mszę św. o godz. 18.00, za co mieszkańcy Osiedla "Przywiśle byli mu szczególnie wdzięczni, zwłaszcza osoby starsze, nieśmiałe i schorowane.



Od 1 marca 2003 roku do opieki duszpasterkiej w kościele Chrystusa Króla, decyzją ks. bp Andrzeja Dziegi, został skierowany ks. Adam Marek, który zastąpił w posługach duchowych ks. Michała, odprawiając Msze św., spowiadając i sprawując nabożeństwa wieczorne. Ks. prałat nadal nadzorował prace przy świątyni do czasu ukończenia I etapu jej budowy.

11 maja 2003 roku we wszystkich tarnobrzeskich kościołach został ogłoszony dekret ks. Biskupa Ordynariusza mówiący, że z dniem 12 maja br. zostaje w Tarnobrzegu erygowana parafia pod wezwaniem Chrystusa Króla. Dotychczasowy kościół pod tym wezwaniem zostaje podniesiony do rangi parafialnego. Wprowadzenie nowego proboszcza, którym oczywiście pozostał ks. Adam Marek nastąpiło 18 maja 2003 roku na Mszy św. o godz. 10.00. Po zakończeniu nabożeństwa w imieniu parafian nowego proboszcza przywitała i złożyła gratulacje pani Anna Polczak oraz prezydenci miasta. Wszelkie obowiązki i prace od księdza prałata przejął już nowy proboszcz.

Pierwszy w parafii pogrzeb, śp. Stanisławy Zwierzyńskiej, odbył się 27 maja, 31 proboszcz dokonał pierwszego w parafii chrztu Dawida Patryka Kolano, a 14 czerwca po raz pierwszy w parafii dzieci niepełnosprawne, z Ośrodka Rehabilitacyjno Wychowawczego przystąpiły do I Komunii św.

Poświęcenia wnętrza kościoła dokonał Jego Ekscelencja ks. bp Edward Frankowski w sobotę 22 czerwca tego samego roku; tym samym dokonał uroczystego oddania parafianom świątyni do kultu Bożego.

25 czerwca przydzielony został do pomocy proboszczowi wikary ks. Tadeusz Ziętkowski i to on, 13 września, udzielił pierwszego w parafii sakramentu małżeństwa, Tomaszowi Kazberukowi i Monice Szopińskiej z Tarnobrzega.

W niedzielę 20 czerwca 2004 roku, w pierwszą rocznicę erygowania naszej świątyni Ordynariusz sandomierski ks. bp Andrzej Dziega dokonał oględzin pomieszczeń rozbudowywanego domu parafialnego, zapoznał się z kronikami pracujących przy parafii wspólnot i dokonał poświęcenia dzwonu zakupionego na zamówienie w firmie Felczyński w Przemyślu. Jak głosi napis na dzwonie:

Imię moje Jan Paweł II - Nie lękajcie się otwórzcie drzwi Chrystusowi z drugiej strony Dla upamiętnienia pontyfikatu papieża Polaka Jana



Pawła II naszego rodaka w I rocznicę powstania parafii za pasterzowania ks. biskupa Andrzeja Dziegi dzwon ten ufundowali prezydent, Rada Miasta Tarnobrzega, wierni wraz ze swoim proboszczem ks. Adamem Markiem, parafia Chrystusa Króla Tarnobrzeg A.D. 2004.

W listopadzie 2004 roku został zamontowany na chórze prospekt piszczałkowy i organy firmy holenderskiej "Jahannus". W tym samym czasie ekipa monterów z firmy "Eldobud" rozpoczęła prace adaptujące dawny komin kotłowni na dzwonnice, zwieńczoną krzyżem. Sam montaż wieżyczki i dzwonu odbył się 20 listopada i od tego dnia, na pół godziny przed rozpoczęciem mszy św. słyszymy bicie dzwonu; wzywa on również na modlitwę Anioł Pański w samo południe.

24 czerwca na Mszy św. wieczornej pożegnaliśmy ks. Tadeusza Ziętkowskiego odwołanego z naszej parafii. Na jego miejsce został skierowany z parafii w Anopolu ks. Wiesław Surma. Na-

tomiast 7 lipca został przydzielony do pracy w parafii jako drugi wikariusz, ks Leszek Pituch.

21 maja 2006 roku została poświęcona przez ks. proboszcza, na placu przed kościołem, kapliczka Matki Bożej. Figurkę tę przywiozła z Mediu-gorie i ofiarowała parafii Helena Gonciarz, a samą kapliczkę ufundowali Marek i Ewa Gosztyłowie.

W niedzielę 26 listopada gościliśmy siostry Adoratorki Krwi Chrystusa z Bolesławca Śląskiego, które przywiozły nowy sztandar z wizerunkiem Marii de Mattias oraz ofiarowały naszej parafii relikwie tej świętej.

17 grudnia 2006 roku po rekolekcjach adwentowych odbyła się w naszej świątyni Intronizacji Figurki Dzieciątka Jezus. Dokonał jej proboszcz, ks. Adam Marek w asyście prowadzącego rekolekcje, misjonarza ze Zgromadzenia Świętej Rodziny ks. Stanisława Malinowskiego z Bąbli-na. Figurka Dzieciątka Jezus została umieszczona w nawie bocznej, w ołtarzu Świętej Rodziny,

pomiędzy figurami św. Jozefa i Maryi, na specjalnym podwyższeniu - tronie. Porcelanowa figurka jest kopią Praskiego Dzieciątka Jezus, zwanego i czczonego jako Łaskami słynące Cudowne Jezulatko z Sanktuarium Matki Bożej Zwycięskiej na Małej Stranie w Pradze czeskiej. Fundatorami figurki są Alicja i Jan Rawski z rodziną, a tronu - artysta plastyk Mirosław Krzyszkowski. Pod tronem artysta zaprojektował relikwiarz na relikwie świętej Marii de Mattias.

13 maja 2007 roku, z okazji 90 rocznicy Objawień Fatimskich, które to tak odmieniły losy świata i zarazem nas samych, poświęcona została przez Ojca Pawła Barszczewskiego - proboszcza kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Tarnobrzegu, podczas nabożeństwa ku Jej czci, figurka Matki Bożej Fatimskiej, zakupiona z ofiar róż różańcowych przy parafii i parafian.

Tak w wielkim skrócie, przedstawia się okres czterech pierwszych lat istnienia parafii Chrystusa Króla w Tarnobrzegu.

JAN RAWSKI

WSPOMNIENIA ZWIĄZANE Z TARNOBRZESKĄ KULTURĄ Z CZASÓW OKUPACJI

W 1939 roku, gdy miałem 7 lat, przyjechaliśmy z Gdyni do Tarnobrzega i zamieszkali w drewnianym domu, jakich była wtedy większość przy ulicy Sokolej lub Kasynowej (obok kina i Kasyna Oficerskiego - obecnie Tarnobrzeskiego Domu Kultury). Podczas okupacji Niemcy w sali kina - obok wyświetlania filmów - wystawiali widowiska i spektakle rozrywkowe dla żołnierzy powracających z frontu wschodniego, bądź przechodzących okres rekonwalescencji, po różnego rodzaju urazach i kontuzjach. Występowały tu różne zespoły chóralne, teatralne i cyrkowe, na które pani Maria Magda (nasza współmieszkan-ka), zatrudniona w kinie w charakterze sprzą-taczki (bileterki), wpuszczała mnie nieraz bez biletu.

W tym czasie przy parafii OO. Dominikanów działał chór kościelny, pod kierownictwem wybitnego muzykologa O. Fabiana Madury. Chór ten dawał koncerty muzyki religijnej, np. na Boże



O. Fabian Madura



Od lewej stoją: Brat Jacek Matoga, Tadeusz Golas i jego żona Władysława Golas - rodzice p. Zofii Milarskiej, Adam Malinowski - organista u OO. Dominikanów.

Narodzenie - kolędy, a w okresie Wielkanocy pieśni wielkopostne, czasem także okolicznościowe. Jedynie w czasie prób w okresie letnim w ogrodzie klasztornym, pod rozłożystym dębem, z dala od zabudowań, członkowie chóru śpiewali różne pieśni legionowe i piosenki ludowe.

W 1944 roku, po tak zwanym wyzwoleniu przez Armię Czerwoną, odbył się niezapomniany koncert chóru kościelnego, dla ogółu mieszkańców Tarnobrzega, w gmachu "Sokoła", na zakończenie którego zaśpiewano wspólnie z całą widownią pieśń "Boże coś Polskę". Brawom i bisom nie było końca. Po latach, kiedy śpiewano słowa "racz nam wrócić Panie" zaśpiewanie "pobłogosław Panie", było tym co wszystkich łączyło, więc ludzie śpiewali te słowa z całych sił.

Kiedy wróciłem po studiach do Tarnobrzega w 1954 roku i spotkałem się z kolegami, którzy byli członkami amatorskich zespołów teatralnych, dowiedziałem się od nich oraz od własnego ojca Józefa, że początki ruchu teatralnego w Tarnobrzegu sięgają pierwszych lat dwiętnastego wieku. Wszystko zaczęło się od wi-

dowisk plenerowych. Ich reżyserem był Wojciech Wiącek z Machowa. O wystawianej przez niego 1904 roku, na dzikowskich błoniach "Bitwie pod Raclawicami", głośno było nie tylko w Tarnobrzegu. Potem prof. Szkoły Realnej Leon Barański był reżyserem szkolnych przedstawień, takich jak "Dziady" Mickiewicza, "Iridion" Krasińskiego czy "Horsztyński" Słowackiego. Teatr amatorski istniał nie tylko w Szkole Realnej, ale także później - w Gimnazjum Państwowym i Kasynie Urzędniczym. Przedstawienia wystawiano również na scenie w gmachu "Sokoła" (obecnego kina Wisła).

Co do Ojca Madury, to wiemy, że z Tarnobrzega przeniesiony został do Klasztoru OO. Dominikanów w Krakowie, gdzie obchodził 35 lecie święceń kapłańskich. Na te obchody byli zaproszeni państwo Zofia i Zbigniew Milarscy, którzy utrzymywali z nim stały kontakt. Kiedy przebywał w Warszawie już tego kontaktu nie podtrzymali, jedynie zostali powiadomieni o jego śmierci i pogrzebie, na który ze względów osobistych nie pojechali.

STANISŁAW SZLĘZAK

TARNOBRZEG W CZORAJ I DZIŚ

Fotografia - jak powszechnie wiadomo - należy do najciekawszych form wypowiedzi wizualnej; pozwala na najbardziej dokładne i sugestywne utrwalenie bieżących wydarzeń, stanowi najlepszy komentarz współczesności.

Źródła fotograficzne mogą ocalić i przechować dla przyszłości, współtworząc historię, miasta i wsi, pokazać mieszkańców, ich pracę i rozrywkę, zatrzymując w kadrze zwyczaje i obrzędy, uroczystości i obchody, święta i dzień powszedni, radości i troski, itd. Tak więc fotografia to nie tylko doskonały materiał prasowy, to także źródło historyczne.

Tarnobrzeg, ma także swoją historię, która rozpoczęła się 414 lat temu, kiedy ród Tarnowskich założył tu miasto; miał swoje wznoszenia i upadki, lepsze i gorsze lata, zmieniał swój wygląd i status, skład narodowościowy mieszkańców i ich liczbę, był grodem, miastem powiatowym i wojewódzkim... Miał swoich bohaterów i takich, co - jak się czasem pisze - giną w pomroce dziejów - zwykłych, szarych obywateli.

Stare fotografie są bezcenne, np. te, zamieszczone w I tomie monografii Tarnobrzega, wydanej przez Muzeum, ale i te późniejsze, z czasów nam bliższych, współczesnych, a więc zdjęcia



Budynek poczty - widok z 1976 r.



Pomnik Bartosza Głowackiego w 1980 r.

utrwalające odkrycie złóż siarki, budowę kopalni, maszyny górnicze; wielki przemysł siarkowy - awans miasta i ludzi, napływ inteligencji technicznej i osiągnięty dzięki temu status województwa. Z 5 tysięcy mieszkańców miasto "urośli" do pięćdziesięciu, niejako kosztem Machowa, Kajmowa, Jeziórka, z których pozostały jedynie nazwy i pamięć w sercach ich wysiedlonych mieszkańców.

Przeobrażenia w naszym mieście od lat rejestrują fotograficy, zarówno amatorzy, jak i profesjonaliści, w tym członkowie reaktywowanego przed trzema laty Tarnobrzegskiego Towarzystwa Fotograficznego. W ubiegłym roku w Miejskiej Bibliotece Publicznej stowarzyszenie to zorganizowało wystawę pt "Tarnobrzeg wczoraj i dziś". Na tę wystawę złożyło się blisko 200 prac 17 autorów o bardzo różnorodnej tematyce; eksponowano m.in. zdjęcia barwnych postaci - nietuzinkowych mieszkańców miasta i okolicy takich jak Paweł Kalinka, Maria Kozłowa, Michał Paż i inni. Na pokazanych fotografiach zostały utrwalone różne uroczystości, np. moment oddania do użytku w 1974 roku pierwszej fontanny, czy wmurowania kamienia węgielnego pod pierwszy budynek TSM czy też Państwowej Szkoły Mu-

zycznej przy ulicy Wyszyńskiego w 1984 roku. Wzruszenie starszych a zainteresowanie młodych towarzyszyły fotografiom upamiętniającym budowę a potem odsłonięcie pomnika "Jędrusiów", czy moment otwarcia i oddania do użytku Muzeum Historycznego m. Tarnobrzega w budynku wyremontowanego spichlerza. Wszystko to utrwaliły fotografie Piotra Czepli, Jana Szlęzaka, Stanisława Świerka, Janusza Żaka, Bogdana Mysliwca, autora tego artykułu i paru innych. Wystawę tę dokumentuje katalog wydany ze środków Rady Miasta. Przy tej okazji nie brakło słów żalu i krytyki, że zniknęły bezpowrotnie szacowne budynki Starej Poczty, drukarni Cwynara czy domu dra Surowieckiego, rozebrane w 1976 roku. Dobrze, że są choć fotografie...

W tym roku, w drugiej edycji konkursu, wzięło udział 17 autorów, prezentując 170 prac. Najciekawsze eksponowane były w witrynie MBP, podczas obchodów Dni Tarnobrzega. Szukajmy starych zdjęć, utrwalamy dzisiejszy dzień, który już jutro przejdzie do historii...



Ponury, smutny rynek rozweselał w powojennych latach grą na flecie Józef Kalinka z Machowa.,

PIOTR DUMA

SANTIAGO DE COMPOSTELA

Każdy z nas ma jakieś marzenia - jest to przecież naturalne, wśród nich są takie miejsca, które chcielibyśmy zobaczyć. W ubiegłym roku udało mi się odwiedzić jedno z takich magicznych, wymarzonych miejsc: Santiago de Compostela. A wszystko zaczęło się od... jednego pytania w czasie studiów, na które niewielu z nas, studentów historii, potrafiło szybko odpowiedzieć: "co mieli przyczepione do kapeluszy pielgrzymi zmierzający do grobu św. Jakuba?" Otóż muszelki, zwykle muszelki. Po tym naukowym "pogromie" do dziś ja i wszyscy moi koledzy "w nocy, o północy" potrafimy odpowiedzieć na to pytanie.

Położone w hiszpańskiej Galicji (gdzie zimą wieją takie wiatry, że deszcze padają wręcz poziomo), na zachodnim wzgórzu Gór Kantabryjskich, Santiago de Compostela to znany od średniowiecza ośrodek kultu i cel wielu pielgrzymów. Zmierzających tam nazywa się *peregrino*, tak jak pątników zmierzających do Rzymu *romero*, a do Jerozolimy *palmero*.

Dlaczego Santiago de Compostela jest takim ważnym dla chrześcijan miejscem kultu? Otóż, zgodnie z tradycją, w tutejszej katedrze ma znajdować się ciało apostoła św. Jakuba (Większego). Według legendy zostało ono przewiezione łodzią do północnej Hiszpanii i zostało pochowane w miejscu, gdzie dziś istnieje miasto Santiago de Compostela. Kult religijny rozwijał się tu od wieku IX. Przybycie pierwszego pielgrzyma, francuskiego biskupa Le Puy Godescalco, o czym informują zachowane źródła, datuje się na rok 950. Ślady pielgrzymek z IX w. można odnaleźć na monetach Karola Wielkiego. Największe nasilenie ruchów pielgrzymkowych przypadło na wiek XII-XIV. W wieku XII Stolica Apostolska uznała Compostelę za trzecie (po Jerozolimie i Rzymie) miejsce święte chrześcijaństwa. Wtedy Santiago stało się jednym z najważniejszych miejsc pielgrzymkowych zachodniej Europy.

W średniowieczu pielgrzymowano dla umocnienia wiary, odbycia pokuty, spełnienia złożonego ślubowania, by prosić o uzdrowienie lub w ce-

lach dziękczynnych. Czasami miasta i parafie wysyłały pielgrzymów w intencji ważnej dla danej społeczności. W niektórych państwach skazanym wyrokiem sądu, nakazywano odbycie pielgrzymki do Santiago. Tradycyjnie pielgrzymkową drogę rozpoczynano od progu własnego domu. Przez całe stulecia w drogę wyruszali przedstawiciele wszystkich stanów; w szczytowym okresie ich popularności, tj. w XIV wieku każdego roku na szlaku spotykało się ponad milion osób.

Znaczenie pielgrzymek spadło po rewolucji francuskiej i dopiero od końca lat 80 XX w. Santiago de Compostela znowu zaczęło przyciągać



Katedra w Santiago



Oznakowanie trasy - znak muszli

coraz większą liczbę pielgrzymów z całego świata. W październiku 1987 roku "Droga św. Jakuba" została ogłoszona pierwszym Europejskim Szlakiem Kulturowym Rady Europy, a w roku 1993 wpisana na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Najczęściej uczęszczanym szlakiem jest tzw. Camino Frances (droga francuska), liczący ok. 750 km. Początek tego szlaku stanowi miejscowość Saint Jean Pied-de-Port we Francji, po wschodniej stronie Pirenejów. Wiedzie on przez słynny wąwóz Roncesvalles (gdzie w roku 778 zginął legendarny Roland, bohater "Pieśni o Rolandzie"), przez Nawarrę, krainę Basków, Rioję, Burgos, Palencję, León, deszczową Galicję, do Santiago de Compostela, przed katedrę na placu Obradoiro. Cały ten szlak pielgrzymi pokonują w kilka tygodni.

Symbolem Camino jest muszla i jej znak prowadzi pielgrzymów przez całą drogę. W czasie naszej wędrówki napotkaliśmy kilkadziesiąt różnych sposobów oznaczania szlaku muszlami. We-

dle wielowiekowej tradycji każdy, kto idzie zgodnie ze wskazaniem muszli, nie zabłądzi.

Charakterystyczne dla Camino jest to, że często wędruje się tam indywidualnie bądź w małych grupach. Nieistotne jest tu wyznanie czy narodowość; idzie każdy, kto chce doświadczyć w drodze ciszy i duchowej przemiany.

Jak wspominałem, można iść do Santiago od progu własnego domu. Większość pielgrzymów wybiera jednak łatwiejszy sposób dotarcia do szlaku - ja sam zdecydowałem się na taki wariant pielgrzymki, a na podstawie moich doświadczeń chciałbym zachęcić do odbycia tej niezwykłej drogi.

Najpierw poleciałem z Krakowa do Londynu. Wprawdzie samolot miał trzygodzinne opóźnienie, ale nikt specjalnie się tym nie przejmował, bo na londyńskim lotnisku i tak pozostało nam jeszcze "tylko" 9 godzin oczekiwania na kolejne połączenie, tym razem do Valladolid. Co robić, kiedy z samolotu wysiadamy około pierwszej w nocy, wszystko jest pozamykane, a rzesza ludzi, takich samych jak my "szczęśliwców", zajęła już krzesła w hali przylotów? O miejscu na jakiegokolwiek ławce nawet nie marzymy. Na szczęście jest karimata i kawałek posadzki, więc choć chwilę można się zdrzemnąć. Niedawne zamachy bombowe w Londynie sprawiły, że kontrole przed wejściem na część odlotów są bardzo skrupulatne. Anglicy robią to w sposób bardzo kulturalny, ale konsekwentny. Lot do Hiszpanii trwa około 3 godzin. Wychodząc z samolotu w Valladolid uderza... upał, do którego szybko trzeba się przyzwyczaić. Trafiamy na porę sjeisty, więc nawet obsługa lotniska pracuje tylko dlatego, że koniecznie musi. Jeszcze "tylko" 150 kilometrów autokarem do Leon i godzinne poszukiwanie schroniska, mel-dunek, otrzymanie specjalnego *kredencjału*, w którym zaznaczone będą wszystkie informacje na temat trasy i noclegów.

Trudno opisać te wszystkie miejsca, które mogliśmy zobaczyć, bo tego najzwyczajniej nie da zrobić się w kilku zdaniach, ani też obejrzeć w krótkim czasie. Ale nie można zapomnieć wrażenia, kiedy przechodziliśmy przez starożytny, pamiętający cesarstwo rzymskie most w Hospital de Orbito czy wspaniałego miasta Astorga, gdzie na każdym kroku "czuć" było wspaniałą historię: oto np. w środku miasta można zobaczyć zachowane resztki rzymskiego domostwa. Ale największe wrażenie zrobiło sklepienie kościoła w miastecz-



Figury pielgrzymów w Monte de Gozo

ku Villafranca del Bierzo. bo zrobione zostało po prostu z ... polnych kamieni.

Na początku wędrówki dziwiliśmy się, że kościoły w szczególności upodobały sobie bociany, które na wieżach ostentacyjnie budowały swoje gniazda. Piękna przyroda, góry, które dwukrotnie musieliśmy przejść na naszym szlaku, nie tylko kosztowały nas sporo wysiłku, ale przede wszystkim dostarczyły wielu cudownych doznań.

Jak wspominałem, naszą trasę zaczęliśmy w Leon, czyli mniej więcej w połowie Camino Frances. Dni naszej wędrówki były do siebie bardzo podobne. Pobudka około 5 rano, najpóźniej 5.30, szybka toaleta, dopakowanie plecaka, ubranie przygotowanej wieczorem garderoby i wymarsz. To wszystko odbywało się przy zgaszonym świetle, żeby nie budzić tych, którzy jeszcze spali. Dlatego też po dwóch, trzech dniach niemal wszyscy perfekcyjnie posługiwali się już latarkami. Inna sprawa, że przygotowanie do wyjścia to swoisty łańcuch zdarzeń. Wstawała jedna osoba, potem druga, trzecia i w ciągu 10-15 minut prawie cała gru-

pa była już na nogach. Wszystko to odbywało się w zupełnych ciemnościach; tylko czasami zdarzał się ktoś odważny, kto świecił światło na sali. O jakimkolwiek śniadaniu nikt nie myślał.

Po przejściu około 10 kilometrów pierwszy postój w barze na wyśmienite *cafe con leche* (kawę z mlekiem), skromne śniadanie. I dalej wędrówka. Zachwycały nas piękne wschody słońca, tak szybkie, że łatwo można było je przegapić, a kiedy słońce już wstało, to zaczynała się "walka" z wszechobecnym upałem. Wtedy od szybkiej utraty sił ratowało tylko częste picie wody, z licznie ustawionych studni (*fuentes*) - trzeba dodać - wody wyśmienitej. Na trasie dla *peregrinos* znajduje się mnóstwo studni, w których można uzupełnić braki. Nawet jeżeli nie chce się pić, to zdrowy rozsadek nakazuje zaczerpnąć wody. W międzyczasie trzeba pamiętać, żeby w kredencjału pojawiły się dwie, trzy pieczątki, które będą dowodem, że pątnik samodzielnie przebył dany odcinek trasy i jest to jednocześnie "przepustka" do kolejnego noclegu w municypal-



Grób świętego Jakuba

nym *albergue*. Taki stemperek można zdobyć w każdym barze, mijanych schroniskach i niemal każdym kościele.

Miasteczka i wsie, przez które przechodziliśmy bardzo często sprawiały wrażenie zupełnie wymarłych: zamknięte okiennice, opuszczone rolety. Jak się okazało, miało to bardzo praktyczne znaczenie, chroniło bowiem mieszkańców przed wszechobecnym upałem. W czasie marszu spotykaliśmy innych peregrinos. Serdeczne wzajemne pozdrowienia w czasie marszu nie wymagały znajomości języków obcych. Zwyczajne "cześć" wypowiedziane po hiszpańsku rozumiane było przez wszystkich. Idealna sytuacja to ta, kiedy do kolejnego schroniska dochodziliśmy najpóźniej około godziny 13, bo potem lejący się z nieba żar powodował, że miało się wrażenie "gotowania mózgu". Dwukrotnie zdarzyło nam się przyjść później. W *albergue* meldunek, kąpiel, szybkie pranie rze-

czy osobistych, obiad i krótka drzemka do czasu, kiedy temperatura spadnie. Dopiero wtedy można wyjść na poszukiwanie kościoła i mszy świętej, a po niej zwiedzać miejscowość, w której akurat przyszło nam nocować. I tak mijał dzień za dniem.

Po kilkunastu dniach wędrówki dotarliśmy wreszcie na wzgórze w miejscowości Monte de Gozo, skąd po raz pierwszy zobaczyliśmy w oddali wieże katedry w Santiago de Compostela. W miejscu tym obecnie stoją figury pielgrzymów, cieszących się z powodu dotarcia do celu, tj. do grobu św. Jakuba Apostoła.

Samo miasto jest wręcz magiczne. Wytwarza się tam tak specyficzny klimat, iż można odnieść wrażenie, że jest się zupełnie w innym, lepszym świecie. Trudno to opisać, po prostu trzeba tego doświadczyć. Zdecydowanie inaczej patrzy się potem na świat. Warto, naprawdę warto wyruszyć na Camino.

OBSERWATOR

ŁOPOT HUSARSKICH SKRZYDEŁ

W połowie kwietnia dzielni inkwizytorzy z IPN wysmażyli akt oskarżenia przeciwko gen. Jaruzelskiemu, chcąc za wszelką cenę na ostatnie lata życia wtrącić do więzienia tego starożytnego człowieka. Powodem owego śmiałego kroku jest odpowiedzialność podsądnego za wprowadzenie stanu wojennego, z której on sam nigdy zresztą się nie wymigiwał.

"Vox populi, vox Dei" mawiali starożytni Rzymianie, co znajduje odbicie w regularnie ogłaszanych sondażach opinii publicznej, która od lat niezmiennie w przytłaczającej większości uważa - mimo nieznośnej momentami propagandy - że stan wojenny był dramatyczną, uciążliwą, ale jednak koniecznością. Tamto tragiczne wydarzenie sprzed ponad ćwierćwiecza jest przez prokuratorów z Instytutu Nienawiści Narodowej traktowane tak, jak gdyby w 1981 roku Polska była krajem szczęśliwie demokratycznym i niepodległym, w dodatku położonym samodzielnie podobnie jak np. Islandia, Cejlon, Malta lub Australia, więc mogła robić co jej się tylko żywnie podobało. Na dodatek o przewinie Jaruzelskiego

ma zdecydować odpowiedź na pytanie: czy istniała groźba interwencji radzieckiej? Odpowiedź tę zresztą nasi dzielni oskarżyciele już mają - teraz chodzi właściwie tylko o to, by w majestacie prawa i w imieniu RP odpowiedni sąd (naturalnie niezawisły!) swoim orzeczeniem raz na zawsze to potwierdził.

W chwili, gdy wprowadzono stan wojenny byłem już dorosłym, świadomym człowiekiem, będąc świeżo po studiach rozpoczynałem swoją drogę zawodową. Nie byłem zaangażowany po jakiegokolwiek stronie konfliktu, nie należałem nigdy ani do partii ani też jakiegokolwiek struktur wobec niej opozycyjnych. Byłem przeciętnym obywatelem, który - tak jak większość normalnych Polaków - miał serdecznie dosyć absurdów socjalizmu, zakłamania, obłudy, nie mówiąc już o rynkowych brakach i przeróżnych uciążliwościach ówczesnej codzienności. Miałem też, jak większość ówczesnych młodych Polaków, swoje marzenia o normalnym kraju prostych, sprawdzonych zasad, gdzie pracowity, wykształcony i uczciwy człowiek swoją zaangażowaną pracą i właściwą

postawą obywatelską może osiągnąć przyzwoity poziom życia, zyskać szacunek, a w dojrzałych już latach cieszyć się jakim takim dostatkiem, na dodatek - bez jakichkolwiek koneksji czy politycznych układów. Tak jak większość moich rodaków z wielką nadzieją powitałem Sierpień 1980 roku. Ale dobrze pamiętam też obawy, czy ożywczy ruch i czas nie zostanie brutalnie stłamszony przez "przyjaciół" ze wschodu. A było się czego obawiać!!! Jak dowodzi tego aż nadto dobrze historia - gdyby została przekroczona jakaś granica, nazwijmy ją wytrzymałości - z jednej strony Rosjanie nie mieliby jakichkolwiek skrupułów, by przywrócić "porządek" na swoją modłę, z drugiej zaś demokratyczny Zachód nie kiwnąłby przysłowiowym palem w bucie, poza wysłaniem nikomu niepotrzebnej makulatury pt. nota dyplomatyczna. I niczego w tym względzie nie zmieniają późniejsze (dzisiejsze?) oświadczenia byłych sowieckich kacyków.

Dla dzisiejszych radosnych inkwizytorów, w czasie gdy Polska pełnym gardłem mówi dziś "niet" Putinowi, to samo można było powiedzieć również przed laty. Uważają też, że skoro w archiwach sowieckiego politbiura nie ma decyzji o wejściu Rosjan do bratniej "Polszy", to nasi pobratymcy na pewno nie mieli ochoty tu wkraczać. Zapominają jednak o pewnym "drobiazgu": otóż Rosjanie nie musieli "wchodzić", bo oni tu po prostu byli od 1945 roku w licznych garnizonach rozlokowanych w różnych częściach naszego kraju. A gdyby rozwój wypadków szedł w tym kierunku, w jakim szedł od późnej jesieni 1980 roku (a nic nie wskazywało na jakiegokolwiek zmiany w tym względzie!) to z całą pewnością groźba o jakiej zawsze (nawet wtedy) mówił Jaruzelski stałaby się faktem. A gdyby tak się stało, to z rozkoszą swoje trzy grosze dołożyliby jeszcze ówczesni dwaj pozostali nasi sąsiedzi, a ulice miast położonych między Odrą i Bugiem, Bałtykiem i Tatrami zamieniłyby się w rzeki polskiej krwi. Można z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuszczać, że mogła powtórzyć się tragedia powstania warszawskiego, tylko w znacznie większym wymiarze. Powrót do normalności zaś po takim dramacie nie byłby możliwy przez całe lata, może pokolenia, a o zgodzie narodowej moglibyśmy zapomnieć na stulecia... Pisząc to nie mam najmniejszego zamiaru, by bronić generała, czy usprawiedliwiać jego decyzje. Tak po prostu oceniam tamten czas, jako ówczesny szary

obywatel, dopiero wkraczający w etap pełnej dorosłości. Pamiętam też o dramacie wielu polskich rodzin, jakie przeżyły na skutek aresztowań, internowania, a nawet straty najbliższych. To nie powinno się być nigdy wydarzyć, a Polacy powinni byli się porozumieć, "dogadać".

Dziś nikt nie jest w stanie powiedzieć, jak potoczyłyby się nasze polskie losy, gdyby nie stan wojenny. Czy byłyby dobre, czy jeszcze gorsze, niż to co nas spotkało. Trzeba jednak pamiętać, że nawet najbardziej dramatyczne wydarzenia mogą być oceniane różnie. Mogą też - w zestawieniu z innymi faktami - niepomniernie blaknąć. Ot, choćby wielka tragedia górników z Kopalni "Wujek". Zginęło wtedy 9 młodych Polaków tylko dlatego, że kochali wolność i przeciwstawili się totalitarnej władzy. STRASZNE!!! Ale jak wobec tego dziś, w wolnej i niepodległej Polsce możemy przechodzić obojętnie wobec faktu, że z biedy i braku życiowych perspektyw rocznie popełnia samobójstwo kilka tysięcy (!) ludzi? Jak to wygląda w kontekście tragedii z "Wujka"? Co na to powiedzieliby dziś owi zastrzeleni górnicy? Toż to hańba, nawet wobec ich pamięci - oni walczyli przecież o nic innego, tylko o godziwe życie...

Wspomniani inkwizytorzy zapominają, że ten sam generał Jaruzelski, po ośmiu latach od wprowadzenia stanu wojennego zaproponował "okrągły stół", od którego rozpoczęła się niepodległa, demokratyczna Polska. Prawdą jest, że to wydarzenie w jakiś sposób zostało na władzy wymuszone - fatalną sytuacją gospodarczą, strajkami itd. Ale zakończenie tego etapu polskich losów mogło być o wiele bardziej dramatyczne, a tak się na szczęście nie stało. Dzięki temu wydarzeniu jesteśmy dziś jako państwo i jako naród we właściwym miejscu współczesnego świata. Nie chcę oczywiście nikogo przekonywać, że stało się to dzięki stanowi wojennemu. Ale czasami bywa tak, że po latach porażki stają się zwycięstwami, a wiktorie - klęskami. W dziejach Polski takich wydarzeń mamy bez liku. Wystarczy przywołać odsiecz wiedeńską, która - dzięki Polakom - uchroniła Europę przed islamem (choć tylko na trzy wieki!). W niecałe sto lat od owej wiekopomnej wiktorii, "wdzięczna" Austria, wespół z Rosją i Prusami, wykopała nam grób, z którego do dziś wygrzebać się nie możemy. Jedyne co nam z tego zostało to chwała wielkiego wodza króla Jana III Sobieskiego (o której Europa dawno już nie pamięta) i łopot husarskich skrzydeł...

OBŁĘD

Każdy normalny człowiek woli labę od pracowitego znoju, a jeśli owa laba jest jeszcze połączona z materialnym dostatkiem, lub jeszcze lepiej - z oślepiającym innych luksusem - to można tylko żałować, że życie większości z nas skończy się, zanim dobiegniemy setki.

Kiedy w naszej cywilizacji pojawił się etap rewolucji przemysłowej, po początkowym totalnym wyzysku robotników trwającym plus minus około stu lat, poza bożą niedzielą dostaliśmy dla siebie więcej wolnych od pracy dni i ta tendencja ma charakter wyraźnie wzrastający. Do wolnych sobót i tradycyjnych niedziel oraz urlopów wypoczynkowych dochodzą jeszcze dni uznane za świąteczne - zarówno kościelne jak i państwowe. Taki model "geografii" świątecznych, wolnych od pracy dni to specjalność nie tylko polska, ale rzekłbym - powszechna. I tu jest wszystko w porządku. Jednakże, w krajach znacznie bardziej rozwiniętych i zamożniejszych od Polski zauważono, że daty świąt są różne, i nie są zgoła w kalendarzu ruchome, jak np. Wielkanoc, bo przecież trudno byłoby oczekiwać, że niejaki George Washington, Thomas Jefferson i inni ogłaszali Deklarację Niepodległości USA kierując się wyłącznie kwartami księżyca, a lud paryski zaatakujecie Bastylie w momencie zrównania dnia z nocą. Kalendarz gregoriański, którym posługuje się większość współczesnych krajów świata ma tę dziwną cechę, że kiedy np. 1 stycznia przypada w niedzielę, to z góry wiadomo, że w roku następnym wszyscy powitają nowy rok w poniedziałek, a gdy po drodze przytrafi się tzw. rok przestępny ów poślizg przyjmie rozmiar już dwóch dni. Nie chcę obrażać moich Czytelników, bo to wiedzą wszyscy, ale jeśli wspominam o tych osobliwościach to jedynie dlatego, że mam wrażenie, że coraz więcej ludzi decydujących o wolnym czasie innych o tym najwyraźniej zapomina.

Z racji różnych wydarzeń historycznych, a także mocno zrosniętego z naszą tradycją kalendarza liturgicznego Kościoła mamy w Polsce całą plejadę świąt, które w większości przypad-

ków (praktycznie poza Wielkanocą i Bożym Ciałem) przypadają w najróżniejsze dni tygodnia. Półbiedy, jeśli w danym roku jakieś święto (powiedzmy 15 sierpnia lub 1 czy 11 listopada) wypadnie np. w piątek, lub poniedziałek. W sposób naturalny taki termin łączy się z wolnymi od pracy sobotą i niedzielą, ale jeśli jest to np. wtorek czy środa, wtedy większość Polaków uprawia narodowy sport pod nazwą "kombinacja na długi weekend". Ci którzy mają urlop "naturalnie" biorą go bez namysłu, ci którzy go już wykorzystali zaczynają kombinować jak przysłowiowy koń pod górę. Szkoły, których normalnie nikt nie jest w stanie zmusić do jakichkolwiek zajęć sobotnich nagle odkrywają, że w sobotę można "odrobić" brakujące do wypełnienia długiego weekendu dni. Wszyscy przy tym doskonale wiedzą, że i tak zajęcia szkolne w tym dniu są czystą fikcją. Tak oto od najmłodszych lat uczymy nasze pociechy, w jaki sposób traktować obowiązki i pracę, gdzie w naszym słowniku ulokować takie określenia jak solidność (nie mylić z solidarnością!), obowiązkowość, pracowitość, odpowiedzialność, niezawodność itp.

Wydawać by się mogło, że w opisywanej materii niczego już nie wymyślimy, ale i tu okazało się, jak głęboką rację miał Gierek mówiąc niegdyś, że "Polak potrafi". Oto bowiem, gdy po roku 1989 wracaliśmy do wielu spraw zarzuconych za poprzedniego reżimu, przywrócono (i słusznie!!!) jako święto podwójne, bo kościelne i państwowe, dzień 3 maja. Tyle tylko, że dwie doby wcześniej mamy dzień 1 maja ustanowiony jeszcze w XIX wieku jako święto pracy. Wiadomo więc, że i 2 maja, a także kilka ostatnich dni kwietnia oraz następujących po 3 maja będzie odtąd przedmiotem swoistego pożądania. Kiedy tylko zaczynają zbliżać się ostatnie dni kwietnia wszystkie media (a zwłaszcza telewizja, której dziennikarze zarabiają krocie) podsycają atmosferę zachęcając rodaków do uprawiania majowej "kombinacji alpejskiej". To nic, że na długi majowy weekend wyjeżdża niewielki procent Polaków (których na to

oczywiście stać!) - tworzy się wrażenie, że jesteśmy tak zamożni jak Francuzi, którzy w przytłaczającej większości w lipcu opuszczają swe domy i miejsca pracy, wygrzewając gnaty na Rivierze lub w słynnym kurorcie Saint Tropez.

Aby było ciekawiej, swoistą "dziurę" w postaci nieświętecznego dnia 2 maja nasz dowcipny parlament ustanowił "świętem flagi". Nie mam nic przeciwko świętowaniu narodowych barw - są one dla mnie wielką wartością, nawet swoistego rodzaju świętością, ale ustanawianie takiego święta jest po prostu cichym przyzwoleniem dla uprawiania wspomnianej już "kombinacji". I choć tradycja to rzecz święta, myślę sobie, że nic nie stałoby się wielkiego, gdyby święto pracy przesunąć z 1 na 2 maja, właśnie z uwagi na wyjątkowość dnia 3 maja. W końcu święto pracy kojarzy się Polakom z "komuną", tak ponoć przez większość nie lubianą. Ale rzeczywiste ich sentymenty tutaj tak naprawdę nie mają znaczenia - liczy się wyłącznie "laba".

Być może ktoś czytający ten felieton pomyśli że się "czepiam". Może. Mam jednak przekonanie, że jako kraj tak bardzo i ciężko doświadczony przez niełaskawą nam historię, powinniśmy za wszelką cenę nadrabiać stracone wcześniejsze lata i stulecia, gonić światową czołówkę, która - daleka od nas - wciąż nam ucieka. Znacznie zamożniejsze od nas kraje nie tylko nie pozwalają sobie na luksus "długich weekendów", ale do minimum ograniczają liczbę świąt państwowych

o stałych datach, a dwudniowe święta kościelne (Boże Narodzenie, Wielkanoc) ograniczają do jednego wolnego od pracy dnia (np. USA, Francja). Oczywiście, nie jestem zwolennikiem aż tak radykalnego podejścia. Uważam jednak, że poza tymi dwoma przypadkami (oraz ewentualnym skomasowaniem 2-3 maja) wszystkie inne święta powinny być pojedynczymi dniami wolnymi od pracy, bez możliwości "odrabiania".

A jeśli - mimo wszystko - nadal chcemy mieć ten długowweekendowy obłęd, idźmy jeszcze dalej. Proponuję np. by wszystkie szkoły już od września zaczęły "odrabiać" w soboty dni pozostające do końca roku szkolnego. Dzięki temu prostemu zabiegowi wakacje zaczęłyby się nie z końcem czerwca, ale już od 1 kwietnia, a na taki prima aprilis zgodziłaby się zapewne cała polska dzieciarnia. Tym samym nauczyciele i uczniowie mieliby pięciomiesięczne wakacje, a państwo i samorządy zyskałyby spore oszczędności, bo przecież znacząco spadłyby koszty utrzymania infrastruktury szkolnej.

Piszę o tym wszystkim naturalnie z pewną prześmiewczą ironią, choć tak naprawdę smutno mi z powodu tego i innych naszych narodowych "obłędów". W skali pojedynczych ludzi wolne dni są korzystne, ale w skali kraju są to spore straty. Byłoby dobrze, aby instytucja mieszcząca się w stolicy przy ul. Wiejskiej, często wzorująca się na najlepszych kabaretach, wzięła to poważnie pod uwagę.

OBSERWATOR

RADOSNA TWÓRCZOŚĆ OPOZYCJI

Przez Polskę zaczyna przetaczać się nowa fala strajków - lekarzy, nauczycieli itd. Obok różnych spraw podnoszonych przez strajkujących istota protestów sprowadza się tak naprawdę do postulatów płacowych. Biorąc pod uwagę poziom płac zasadniczych lekarzy są one zbyt niskie. Od wielu lat medycy "ratują" się tym, że równolegle pracują na kilku etatach (szpital, przychodnia, pogotowie ratunkowe) co wraz z tzw. dyżurami daje całkiem przyzwoite

pieniądze (takiej możliwości nie mają inne zawody). Tak jednak na stałe być nie może: doba ma tylko 24 godziny, a współczesna medycyna to gałąź wiedzy rozwijająca się wręcz żywiłowo, więc ta okoliczność wymaga coraz ściślejszej specjalizacji, a co za tym idzie - nieustannego dokształcania się zarówno lekarzy, jak i pozostałego personelu medycznego. W przodujących krajach zachodnich nie istnieją już podręczniki medyczne, gdyż są to wydawnictwa prezentują-

ce jakąś stałą, a więc i starą zarazem dawkę wiedzy. Te "wynalazki" sprzed dziesiątków lat są zastąpione skryptami, które obowiązują rok, najwyżej dwa. Poza tym zarówno lekarze jak i pielęgniarki regularnie zdają egzaminy z aktualnej wiedzy medycznej. Dzięki takiemu trybowi dokształcania, są na bieżąco z najnowszymi osiągnięciami medycyny, co automatycznie przekłada się na poziom świadczonych usług wobec chorych. W zamian za to lekarze są dobrze opłacani, a najlepsi z nich stanowią finansową elitę, nie tylko medycyny.

Opisany stan to pewien ideał do którego należy dążyć, gdyż - jak się wydaje - nic lepszego w tej mierze nie wymyślono. Gdyby uważniej jednak przeanalizować sytuację innych grup społecznych i zawodowych w Polsce rychło okazałoby się, że są one w podobnym położeniu co medycy, tyle tylko, że z natury rzeczy nie mają takiej jak tamci siły przebicia. Odnosi się to zwłaszcza do tzw. inteligencji, co jest pochodną pogardy okazywanej owej grupie społecznej w okresie PRL, a i ochoczo (i twórczo!) kontynuowanej w III, a teraz także w IV RP (ciekawe ile jeszcze musimy przeżyć "numerów" kolejnych Pospolitych Rzeczy, by zaczęto traktować nas inaczej?). Dodatkowo - w każdym zawodzie i wykonywanej profesji znaleźć można - wśród rzeszy przeciętniaków, wyrobników i partaczy - także prawdziwych mistrzów, wręcz wirtuozów swojej branży. W większości przypadków jednak, jak za czasów komuny - miast nagradzać tych ludzi wedle talentu i zaangażowania - nadal stosuje się idiotyczną "urawniłowkę" w postaci marnych pensyjek, podpierając to jeszcze kretyńską filozofią "jednakowych żołądków".

By usprawiedliwić ten stan rzeczy kolejne rządy - obojętne: lewicowe czy prawicowe - na wszelkie strajki odpowiadają, że budżet państwa jest jaki jest, czyli że nie ma co oczekiwać na podwyżki. Jeśli takowe będą to najwcześniej za kilka lat (czytaj: ad calendas grecas), bo przecież to biedne państwo pieniędzy na podwyżki nie ma.

Rządzący oczywiście nie kłamią, bo aktualny budżet jest jaki jest. Zdumiewać tylko może fakt, że nikt jak dotąd nie zastanowił się nad tym, że w całej mizerii budżetowej zbyt drogie jest... nasze Państwo!

Kiedy za rządów AWS szumnie przeprowadzono "cztery wielkie reformy" chyba mało któ-

ry z radosnych reformatorów zastanawiał się nad niesłychanie prostym pytaniem: ile to będzie kosztowało? Nie chodzi tu oczywiście o samą wartość technicznego przeprowadzenia owych "reform", ale o to ile pieniędzy ma kosztować funkcjonowanie Państwa po wprowadzeniu zmian. Mówiono np. że zamiast 49 małych województw będzie ich 16. I teoretycznie tak jest, choć tak naprawdę - biorąc pod uwagę model podwójnej administracji (województwińska i marszałkowska) - de facto można uznać, że mamy ich 32! Do tego dochodzi kilkaset tak naprawdę nikomu niepotrzebnych powiatów. Co jeszcze? Ano - jakby tego wszystkiego było mało - zafundowaliśmy sobie np. gimnazja, które nawet niezbyt rozsądnie patrząc na sprawy edukacji chcą teraz zlikwidować, wracając do wypróbowanego w rozwiniętych krajach (także i u nas) modelu 4-klasowych liceów. Do tych kolosalnych wydatków, które przecież ponosimy wszyscy jako obywatele Polski, dochodzą inne jeszcze kurioza: niezmiernie kosztowny Instytut Nienawiści Narodowej (pardon - IPN), Centralne Biuro Antykorupcyjne, powoływane co jakiś czas - zgodnie z najnowszą "modą" - sejmowe komisje śledcze, (po co w takim razie istnieją prokuratury, sądy czy NIK?), wreszcie niezliczone rady nadzorcze różnych przedsiębiorstw i firm, bajeczne pensje i odprawy prezesów itd. Do tego dodać należy istną armię samorządowców wszystkich szczebli. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że państwo jako takie ma swoje struktury i z tego powodu określony poziom wydatków. Ale wydaje się, że w przypadku Polski - kraju w końcu niezbyt zamożnego i wciąż usiłującego dogonić przodujące państwa Europy - budżet musi być układany inaczej, rozsądniej. Tymczasem jego układanie jest podporządkowane nie tyle potrzebom państwa i jego obywateli, ile interesom kolejnych ekip rządzących, działających nierzadko wedle zasady "po nas choćby potop". I choć efekty takiego podejścia są dla ogółu społeczeństwa mizerne, odnieść można wrażenie, że ten sposób postępowania nieprędko zniknie z naszego życia politycznego. Nie zniknie zaś dlatego, że jak pokazały wydarzenia w Polsce po roku 1989 - każda opozycja krytykuje postępowanie rządzących, po czym - gdy sama staje u sterów - robi dokładnie to co tak niedawno jeszcze krytykowała, jeszcze twórczo to rozwijając...

ADAM WÓJCIK - ŁUŻYCKI

NAJPRAWDZIWSZA BAJKA

Dzisiaj gdy byłem na spacerze
Wiatr mi zaświstał mocno w uchu,
Choć w cuda już nie bardzo wierzę
Przemówił jakoś mi do słuchu.

Co mi powiedział - tajemnica!
Sza! - nikt nie słyszał, więc nie powiem.
Lecz to co wiem - już mnie zachwyca
I ciągle chodzi mi po głowie.

A brzmi jak bajka, moi mili,
Więc miast thrillera na dobranoc,
Nie tracąc choćby jednej chwili
Opowiem piosnkę zasłyszaną....

Gdzie nurty szemrzą wielkiej rzeki,
Nad jej urwiskiem stanął zamek.
W nim ci mieszkali cztery wieki
Wielcy panowie, piękne panie.

I choć okazje mieli różne
Bogactw nie zjedli, nie przepili.
Z wojaży wielkich i podróży
Skarby do zamku pozwozili.

Były to rzadkie, polskie księgi,
I płótna starych mistrzów sławnych
Pamiętki chwały i potęgi
Czasów minionych, choć tak dawnych...

Potem, po latach tych świetności
Nastaly czasy zaślepienia
Niszczenia ludzi i wartości,
zamku naszego ponizenia...

Lecz każda bajka jest prawdziwa
Kiedy się dobrym kończy słowem,
Gdy zakończenie ma szczęśliwe,
Więc takie tylko wam opowiem.

Już za lat kilka, gdy staniecie
Nad Wisły niegdysiejszym brzegiem
Zamek swym blaskiem znów zaświeci
W Dzikowie - tuż pod Tarnobrzegiem...

